

STULECIA STRACHU PRZED ZMIANĄ

Tylko bez nowinek, proszę!

Weltwoche (artykuł z prasy)

Przeraża nas wszystko, co nowe: od żarówki – po książkę, od welocypedu – po radio. Kiedy tylko komuś udało się coś poprawić, ułatwić ludziom życie, tłum krzyczał od razu: Niebezpieczeństwo!

Nowe warzywo pochodzi z Ameryki i w Europie spotyka się z jednoznacznym odrzuceniem. Rolnicy twierdzą, że jest trujące i wyjaławia ziemię. Jego spożycie prowadzi do poronień i wielu chorób – ostrzegają lekarze. Jeśli jednak ktoś odważy się je uprawiać, rozwścieczeni sąsiedzi niszczą jego pola. „Bulwy nie mają ani zapachu, ani smaku, nawet psy nie chcą ich żreć, na co więc nam mogłyby się przydać?” – napisali do władz mieszkańcy pewnego niemieckiego miasteczka.

Selery zmodyfikowane genetycznie? Ależ skąd. Mowa jest o starych, pocziwych kartoflach. Zostały one sprowadzone do Europy przez Hiszpanów w 1537 r., ale trzeba było jeszcze ponad 200 lat, by zostały na naszym kontynencie zaakceptowane i by zaczęto je uprawiać na szeroką skalę. Przyczyną odrzucenia były przesady, które z dzisiejszego punktu widzenia robią wrażenie groteskowych. Jeszcze w 1821 r. Goethe doradzał gospodyniom domowym dodawanie do potraw możliwie wielu warzyw, tak by „zagłuszyć jakoś i zrównoważyć ten fatalny, ziemniaczany posmak”. Wybitny przedstawiciel oświecenia Denis Diderot pisał w swojej encyklopedii, że kartofle powodują wzdęcia i nadają się do spożycia w najlepszym wypadku jedynie dla rolników i parobków.

Lekarze ostrzegali: spożycie ziemniaków miało ich zdaniem prowadzić do „zgagi, nudności i wymiotów”, a nawet do „krztuśca i gorączki gnilnej” – pisał w 1780 r. pewien lekarz w Zurychu. Z kolei proboszcz z Schlieren rozpowszechnił wieść, że ze ściętej piany po gotowaniu kartofli można wyprodukować „dobrą trutkę na myszy i szczury, która w niczym nie ustępuje arsenikowi”. Bardzo długo ludzie traktowali tę bulwę nie jako środek spożywczy, ale raczej jak zarazę. Nazwali ją nawet: „owoc diabła”.

Kartofle albo śmierć

Ziemniaki mogą faktycznie wywoływać mdłości, ale tylko wtedy, gdy spożywa się je niedojrzałe. Ta wada jest jednak niczym wobec ich obiektywnych zalet: kartofle są niewymagające i łatwe do uprawy. Rosną nawet na słabych glebach i na wzniesieniach – aż do wysokości 1800 metrów n.p.m. Mają dużą wartość odżywczą i – w przeciwieństwie do zboża – nadają się do bezpośredniego spożycia. A także, co było ważne w tamtych czasach, są w stanie przetrwać każdą niepogodę. Nawet kiedy grad zniszczył całe plony owoców i zbóż, można było przetrwać zimę dzięki ziemniakom i nie głodować.

A przecież w samej tylko Francji w XVIII wieku doszło do 16 wielkich klęsk głodu. I mimo to pod koniec wieku 99 na 100 francuskich rolników obawiało się nawet wziąć kartofla do ust. „Lęk przed nowością był tak głęboko zakorzeniony, że ludzie woleli raczej umrzeć z głodu, niż wyrzec się swoich przyzwyczajień” – pisał amerykański historyk Larry Zuckerman. Podczas jednej z klęsk głodu w 1770 r. mieszkańcy Neapolu nie tknęli nawet ładunku kartofli, przysłanych im w darze statkiem w ramach pomocy. Jest to epizod, który przywodzi na myśl wydarzenia sprzed trzech lat, kiedy Zambia zwróciła ładunek kukurydzy zmodyfikowanej genetycznie, którą Stany Zjednoczone przysłały jej w obliczu klęski głodu.

Jak to możliwe, że ludzie w XVII i XVIII wieku tak uporczywie wzbraniли się przed nowością, która stanowiłaby istotne ułatwienie w ich ciężkim życiu? Być może ta bezkształtna bulwa, która w zagadkowy sposób rozmnażała się pod ziemią, jakby za sprawą czarów, wydawała się równie niebezpieczna jak dzisiaj pomidor, któremu badacze nadali jakieś nowe właściwości. Ale w obliczu klęsk głodu, jakie dręczyły ówczesnych ludzi, to odrzucanie ziemniaka wydaje się jednak irracjonalne.

Człowiek nie jest zwierzęciem, lubiącym żyć zgodnie ze swymi przyzwyczajeniami, jest wręcz fanatykiem swoich przyzwyczajień! Z badań psychologicznych wiadomo, że przy ocenie jakiejś nowości groteskowo wykrzywiamy proporcje między szansami a zagrożeniami – ponieważ doznane straty są dla nas znacznie bardziej bolesne niż stracone szanse. Wolimy dziesięć razy przegapić jakąś okazję, niż raz upaść na nos. Z tego względu jesteśmy mistrzami świata w wymyślaniu potencjalnych zagrożeń, kiedy tylko pojawia się coś nowego.

Czegóż to ludzie nie wymyślili, doszukując się potencjalnych niebezpieczeństw! Obawiano się, że światło elektryczne wywołuje piegi, parowozy niszczą uprawy pszenicy, a w odkurzaczach siedzą małe czarty. Mieszkańcy Bazylei załamywali ręce, że przez nowy tunel kolejowy do miasta będzie napływać mgła znad Olten. Z kolei Duke of Wellington alarmował, że przez tunele metra francuskie oddziały mogą niepostrzeżenie wkroczyć do Londynu. Najbardziej żarliwi wierni w XVIII w. przezywali pierwsze piorunochrony „kacerskimi drągami” i niszczyli je. Kierowanie piorunów w inną stronę postrzegano jako niebezpieczną ingerencję w naturalny porządek rzeczy. Ludzie woleli raczej pozostać przy budzącej grozę praktyce bicia w dzwony podczas burzy, która w Europie w ciągu kilku stuleci kosztowała życie kilkuset dzwonników zabitych piorunami na wieżach kościelnych.

Zarzut niezgodności z naturą wysuwano zawsze wobec wszystkiego, co wymyślił człowiek, żeby sobie ułatwić życie – mówiąc wprost: wobec każdej nowej techniki. Hegel określał korzystanie z maszyn generalnie jako „oszustwo [...] względem natury”, za które człowieka z pewnością spotka kara.

Ta argumentacja jest paradoksalna. Oczywiście wyciskamy znacznie większe piętno na naturze, niż jakiegokolwiek inne istoty żyjące na Ziemi. Ale przecież właśnie w naturze człowieka leży owo „nienaturalne” dążenie do zmieniania

świata dla własnych celów. – *Jeśli istnieją ludzie* – pisze niemiecki filozof Peter Sloterdijk – *to tylko dlatego, że technika wydostała ich ze stanu przedczłowieczego. Zaś jego szwajcarski kolega Urs Sommer jest zdania, że konsekwentny sceptycyzm wobec techniki jest być może w gruncie rzeczy opowiedzeniem się za powrotem do przedludzkiego stadium w rozwoju gatunków. Sommer dodaje: Trzeba bardzo dokładnie określić, gdzie tak naprawdę zaczęła się degrengolada, jaką piętnujemy – wraz z uprawą roli? Wynalazkiem druku? Rozszczepieniem jądra atomowego?*

A może jeszcze wcześniej? Wraz z pierwszym płomieniem. Krzesanie ognia jest ową pratechniką, dzięki której człowiek katapultował się z królestwa zwierząt. Aby tego dokonać, musiał stale przewycięzać swój lęk. Możemy się domyślić, jak wielki był ten lęk, widząc dzisiaj, jak bardzo zwierzęta boją się ognia. Czy pierwsi śmiałkowie, którzy dokonali sztuki poskromienia ognia, także obawiali się jakiejś „zemsty natury”? W greckiej mitologii bogowie karzą człowieka za kradzież ognia puszką Pandory, z której wypływają na Ziemię choroby i nieszczęścia.

Wygląda to trochę tak, jakbyśmy każdym nowym wynalazkiem na nowo krzesali ogień. I za każdym razem od nowa przeżywamy związaną z tym rozterkę. Kresomózgowie kombinuje, oblicza i wymyśla, a pień mózgu (czyli to zwierzę, tkwiące w nas) woła: „Stop! Ostrożnie! Nie tak szybko!”. Koniec końców w grę wchodzi tu owo stawanie się człowiekiem – proces, z którym wciąż jeszcze nie oswoiliśmy się do końca.

Dalsze etapy technicznego opanowania płomieni były permanentnym źródłem nowych lęków. Pewien krytyk określał np. wprowadzenie w XIX w. oświetlenia ulicznego jako „atak na boski porządek świata”, w którym nie ma miejsca na światło nocą. Jakiś amerykański obywatel się obawiał, że w obrębie jego miasta z powodu oświetlenia wszystkie kury padną z braku snu. „Cölnische Zeitung” w swoim wydaniu z 28 marca 1819 r. przedstawiła szereg argumentów przeciwko oświetleniu ulic: „1) szkodliwy dla zdrowia wpływ wycieków z płonącej oliwy lub gazu; do tego możliwość zaziębień, jako że oświetlone ulice zachęcają do spacerów po zmroku; 2) fatalny wpływ na moralność pijaków i zakochanych; 3) lampy uliczne sprawiają, że konie stają się płochliwe, a złodzieje zuchwali; 4) podczas świąt oficjalnych iluminacja budzi uczucia narodowe, które w wyniku stopniowego wprowadzenia quasi-iluminacji na co dzień zostaną osłabione i przytępione”.

Światło ślepoty

Lęk stał się jeszcze większy, kiedy w połowie XIX w. dzięki centralnemu zaopatrzeniu i kosztownym przewodom światło gazowe dotarło do poszczególnych domostw. **Od samego początku gaz – z uwagi na to, że jest bezgłośny i niewidzialny – otaczała aura podstępności i perfidii. Mylnie sądzono, że jest trujący, powoduje gorączkę, wysypkę, a nawet szczególnie złośliwą**

odmianę ospy. Z tych względów zamykano na noc wszystkie kurki. Poza tym obawiano się, że nieszczelności w przewodach mogą doprowadzić do skażenia gleby i wody pitnej, i że takie powoli postępujące zatrucie sprawi, iż życie w mieście stanie się niemożliwe.

Wszystkie te lęki przebijał jednak paniczny strach przed eksplozjami. Wybuchy zbiorników z gazem zdarzały się wprawdzie rzeczywiście, jednak nie częściej, niż pożary od świec. Już sama obecność tej potencjalnie niszczącej substancji w miastach i mieszkaniach wywoływała lęk, podsycany jeszcze przez zaprzeczenia i słabą strategię informacyjną urzędów i ekspertów (efekt znany także dzisiaj). „Zostało dowiedzione – pisał londyński „Times” w 1865 r. – że centralne zbiorniki gazu w mieście mogą w każdej chwili eksplodować ze straszliwą siłą. Kto mieszka w ich pobliżu, jest wystawiony na podobne niebezpieczeństwo, jakby usadowił się na beczce prochu”.

Czternaście lat później Edison wynalazł żarówkę. Świeciła jaśniej niż gaz, nie wydzielala sadzy ani takiego ciepła i przede wszystkim – nie mogła eksplodować. Kto by jednak sądził, że zaraz zaczął się popyt na nową formę energii, ten byłby w grubym błędzie. W 1910 r. w USA tylko dziesięć procent domostw posiadało elektryczność, w Berlinie mniej niż cztery procent. Najważniejszym powodem tak wolnego rozpowszechniania się wynalazku był „opór konsumentów”, jak pisze w swojej nowej książce „Dark Light” (Mroczne światło) Linda Simon.

Wraz z elektrycznością ludzkość wkroczyła zdecydowanie w epokę lęków rozproszonych. Zgłaszano też jednak całkiem konkretne ostrzeżenia, na przykład: „czytanie przy świetle elektrycznym prowadzi do ślepoty”. Już w dziesięć lat po wynalezieniu żarówki czasopismo naukowe „Science” donosiło o nowej chorobie, zwanej fotoelektryczną oftalmią (zapaleniem oka), która wywoływana jest przez stałe oddziaływanie światła elektrycznego na oczy. „Pacjent budzi się nocą ze strasznymi bólami w okolicach oczu, którym towarzyszy potok łez”. Pewien okulista podał, że leczył już 30 pacjentów cierpiących na tę nową chorobę.

Głównym powodem sprzeciwu wobec żarówki było jednak ówczesne utożsamianie elektryczności z energią życiową. Włoski lekarz Luigi Galvani pokazał w 1786 r., że za pomocą elektrowstrząsów można wprawić w drgania żabie udka. Stopniowo rozwinęło się przekonanie, że elektryczność to w istocie esencja życiowa. Sądzono, że nie tylko porusza ona ciałem i mięśniami, ale że również wszystkie uczucia i myśli mają elektryczne podłoże. W związku z tym w XIX w. wiele chorób, jak na przykład często diagnozowana „gorączka nerwów” (dziś mówilibyśmy zapewne o depresji), traktowano jako niedobór energii elektrycznej, który należało uzupełnić za pomocą elektrowstrząsów. „Kąpiele elektryczne” i kuracje prądem, podczas których wprowadzano energię elektryczną wszelkimi możliwymi i niemożliwymi otworami w ciele, były tak samo popularne wśród pacjentów jak i lekarzy.

I ta życiodajna substancja miałaby służyć czemuś tak powszedniemu jak oświetlenie domu? Dla wielu ludzi takie wyobrażenie miało w sobie coś przejmującego grozą. **Powszechne wykorzystanie elektryczności „burzy**

równowagę natury” i zagraża „istnieniu zwierzęcego i roślinnego życia na Ziemi” – utrzymywał pewien amerykański obywatel w 1884 roku. Linda Simon opowiada o pewnej autorce, która w publikacji „Prorocze ostrzeżenie” protestowała przeciwko rzekomemu naładowaniu powietrza energią elektryczną. Jej zdaniem prąd płynący kablami „w podstępny sposób oddziałuje na ludzi”. Następstwem miałyby być: „ataki apopleksji, utraty świadomości, paraliż” i to na tyle silne, że lepiej już byłoby sobie życzyć śmierci. Wszystko to przypomina nie tylko obecne narzekania na elektrosmog.

W podejściu do tematu elektryczności w XIX w. można znaleźć też wiele analogii do współczesnej dyskusji nad żywnością zmodyfikowaną genetycznie. Okazuje się bowiem, że w dziedzinie medycyny wykazujemy często niemal bezgraniczną gotowość do wystawiania się na ryzyko. Wielu ludzi akceptuje budzące wątpliwości metody, takie jak kuracje elektrowstrząsami czy terapie genowe, choć obie związane są z poważnymi i z pewnością niepozabawionymi ryzyka ingerencjami w ciało pacjenta. Równocześnie jednak kiedy ta sama technika znajdzie zastosowanie poza medycyną, wtedy nawet najbardziej absurdalne czarne scenariusze zostają wystylizowane na realne zagrożenie. To paradoksalne zjawisko ma najprawdopodobniej związek z uporczywym przesądem panującym w społeczeństwie, że medyk to osoba, która leczy i chroni, podczas gdy homo faber to istota, która dla swoich technokratycznych wizji gotowa jest iść po trupach.

Przejsięcie od światła gazowego do żarówki ukazuje jeszcze jedno zjawisko: gdy tylko na horyzoncie pojawia się nowa technologia, dotychczasowa nagle zaczyna sprawiać wrażenie znacznie bardziej naturalnej, niż się dotychczas wydawało. Chociaż dawniej obawiano się eksplodujących pojemników z gazem, są one niczym w obliczu przerażających kabli przewodzących prąd. Przy nich przewody gazowe zaczęły sprawiać wrażenie niemal przyjaznych. Wszystkim lękom na przekór nauczono się bowiem obchodzić z gazem i przyzwyczajono się do niego.

Otępiająca sztuka pisania

Najbardziej wyraźnie efekt ten daje o sobie znać w dziedzinie, w której w mniejszym stopniu chodzi o egzystencjalne lęki, co raczej o pesymistyczne obawy o przyszłość kultury. Chodzi o rozwój nowych technik komunikacyjnych. **Niezależnie od tego, czy chodzi o telefon, radio, telewizję, esemesy, internet czy e-maile, sceptycy zawsze z początku dostrzegają w nich niebezpieczeństwo splotenia i upadku kulturowego, uzależnienia i nadużywania, niezdolności do nawiązywania dialogu i osamotnienia.**

Ta tradycja myślowa sięga znacznie głębiej, niż nam się wydaje. Już pismo i książki – dla nas kluczowe pojęcia kultury wysokiej – niejednemu myślicielowi zalatywały z początku dekadencją. Dla Platona litery były „obcymi tworam”, które z uczniów robiły „pseudomędrców zamiast prawdziwych mędrców”. Twierdził on: „Bez ustnego nauczania będą sobie wmawiali, że coś pojęli, podczas gdy tak naprawdę nic nie rozumieją”. Z kolei arcybiskup Moguncji w

XV w. dostrzegał także spore niebezpieczeństwo w wynalazku druku: „Bo któż użyje niewykształconym ludziom świeckim i niewiastom, jeśli w ich ręce wpadnie Pismo Święte, rozumu, potrzebnego do odkrycia prawdziwego znaczenia tych świętych ksiąg?”

Kiedy w XX w. nadawać zaczęło radio, zamiast cieszyć się z odnalezionego na powrót przekazu ustnego znów uskarżano się na nienaturalność nowego medium. – *Poprzez taki jednostronny, sztuczny przekaz, wrażliwość na naturalne bodźce płynące ze świata przyrody, a także nauki i sztuki zostanie stepiona i stopniowo zacznie zanikać* – tłumaczył niejaki dr Hanauer w latach dwudziestych zeszłego wieku w pewnym fachowym czasopiśmie medycznym. Sześćdziesiąt lat później Neil Postman („Zabawiamy się na śmierć”) wyniósł tak pogardzaną przez Platona książkę do rangi największego dobra kultury, natomiast telewizor, zapewniający o wiele żywszy przekaz, uznał za symbol upadku kulturowego.

Kasandrycznym nawoływaniom pesymistów, czarno widzących przyszłość kultury, towarzyszyły często ostrzeżenia natury zdrowotnej. Kto nauczy się pisać i czytać, ten zaraz zacznie zapominać, bo „nie będzie już ćwiczył pamięci” – prorokował Platon. „Od nadmiaru czytania można stracić rozum” – mawiano w XVI w. Także radio – co może nas dziś zaskoczyć – miało być zdolne do wszystkiego złego. „Wskutek uzależnienia od tego sztucznego środka odurzającego zwolna pogrzebana zostanie zdrowa siła woli i energia życiowa” – pisano we wspomnianym wyżej tekście. Jak również: „U niektórych nadgorliwych radiosłuchaczy można zauważyć, że uszy zmieniają nieco swój kształt, w ten sposób, że małżowiny, jak i płatki ucha zdają się być jak przyklejone do czaszki”. U radiosłuchaczy odnajdywano też inne choroby uszu. Przekonywano, że po długotrwałym słuchaniu radia małżowiny stają się lepkie, a płatki uszu nabrzmiewają i pokrywają się pęcherzykami. Jako środek zaradczy dr Hanauer radził z całą powagą: „kurację odwykową od radia”.

Aby jednak zachować obiektywizm, należy stwierdzić, że nowe techniki często rzeczywiście wywołują niemiłe skutki uboczne. Należy zatem właściwie ocenić niebezpieczeństwa i zminimalizować ryzyko. Zasadną jest szczególna ostrożność zwłaszcza na początku, kiedy nowa technologia nie jest jeszcze w pełni rozwinięta, środki bezpieczeństwa na razie nie są optymalne, a niektórych zagrożeń być może jeszcze nie odkryto. Pojawiało się już przecież wiele technik, w przypadku których zagrożenia niedoszacowano. Z promieni rentgenowskich korzystano w medycynie bez umiaru przez całe dziesięciolecia, mimo że znane były już przypadki oparzenia promieniami, a wiele wskazywało też na ich rakotwórcze działanie.

Sama możliwość istnienia zagrożenia nie może być jednak powodem dla zakazu nowej techniki. W końcu nie istnieje ani jedna, która nie miałaby skutków ubocznych. „Cóż mogę na to poradzić, że ktoś kupuje złe książki i schodzi przez nie na manowce, albo korzysta z nich ze szkodą dla siebie i innych?” – odpowiadał w 1569 r. pewien księgarz przeciwnikom książek. I miał świętą rację. Bo czy należało zakazać druku z powodu kilku jątrzących pamfletów? Czy powinno się zlikwidować internet z powodu pojawiającej się w nim pornografii

dziecięcej? Zabronić używania ognia z powodu niebezpieczeństwa pożarów? Należy walczyć z niepożądanymi ekscesami, a nie z samą techniką.

Niejednokrotnie za sprzeciwem wobec nowinek kryją się też ekonomiczne interesy. W Szwajcarii wydawcy gazet długo blokowali nadawanie wiadomości przez radio. W kantonie Graubünden przede wszystkim woźnice, kowale, urzędnicy pocztowi i pracownicy kolei lobbowali skutecznie za zakazem ruchu samochodowego, który utrzymał się od 1900 do 1925 roku. Za niszczeniem pól kartoflanych w XVIII w. często stali zamożni gospodarze, którzy obawiali się o swoje dochody z uprawy pszenicy. Także ostrzeżenia nowożytnych dostojników kościelnych przed drukowanymi książkami miały swe źródło w lęku przed utratą wiernych. Obawy te nie były pozbawione podstaw: wskutek upowszechnienia Biblii Kościół stracił monopol informacyjny w kwestiach religijnych – i w następstwie tego, na skutek reformacji, połowę swoich owieczek.

Protestowano także przeciwko kolejom. Na pierwszej linii oporu stanęli ci, którzy przegrywali na tej modernizacji: woźnice i handlarze końmi, którym kolej odbierała zarobek. A także chłopci, lękający się przywozu tańszego zboża. Zdarzało się, że właściciele gruntów ruszali z widłami lub ze strzelbą na mierniczych, którzy wytyczali linie kolejowe. Pocztylionowie, rozwożący listy, okrywali swoje konie czarnymi kocami i urządzali żałobne procesje na znak protestu przeciwko „diabelskiemu żelaznemu rumakowi”. W roku 1843 nawet przedstawiciele miejscowych władz protestowali przeciw budowie linii kolejowej z Bazylei do Zurychu, utrzymując, że kolej „za jednym zamachem odbierze mieszkańcom tych okolic główne źródło ich dobrobytu, jakim jest bardzo ożywiony ruch podróżnych i handlarzy, wiozących swoje towary na sprzedaż”.

Zabijanie przestrzeni

Doszedł do tego lęk przed prędkością. **Pierwsze pociągi bowiem rozwijały szybkość trzykrotnie większą niż dyliżans pocztowy. Obawiano się, że wzdłuż trasy pociągu konie będą się ploszyć, kury przestaną znosić jaja, a krowy – dawać mleko.** Podczas debaty w parlamencie wokół budowy linii kolejowej z Manchesteru do Liverpoolu w 1825 r. jeden z posłów przedstawił koszmarną wizję „pociągu pędzącego z szybkością 16 mil na godzinę (tj. ok. 26 km/h) i ciągniętego przez diabła, który przybrał kształt lokomotywy”. Dla innego posła powodem do niepokoju był ogień, służący jako źródło napędu. Podczas deszczu ogień ten zaraz zgaśnie – ostrzegał. „Można by wprowadzić osłonić parowóz kocami, ale zapewne zdmuchnąłby je pęd wiatru podczas jazdy. Natomiast podczas burzy ogień pod kotłem rozpałi się tak mocno, że kocioł z pewnością z pewnością wybuchnie”.

Pisarz Jeremias Gotthelf w 1846 roku w swej powieści „Wędrówki czeladnika Jakuba po Szwajcarii” dawał wyraz takim obawom: „Jakub zgłaszał obiekcje przeciwko kolei. Lękał się szatańskiej mocy, która wiezie ludzi z nieubłaganą precyzją, całkiem jak diabeł, unoszący dusze biednych grzeszników do piekła.(...) **Dużo słyszał o katastrofach, strasznych nieszczęściach, o tym jak ludzie płonęli**

żywcem, o tym że można być ugotowanym we wrzątku jak rak, albo że wybuch może wyrzucić człowieka w górę na taką wysokość, że już nigdy nie opadnie z powrotem na ziemię”.

Na skutek tak błyskawicznego (jak na ówczesne pojęcia) przenoszenia się z miejsca na miejsce dotychczasowy sposób postrzegania miejsca i czasu uległ zachwianiu. „Pociągi zabijają przestrzeń, a nam pozostaje już tylko czas” – pisał w 1843 roku we Francji Heinrich Heine z okazji oddania do użytku linii kolejowych z Paryża do Orléans i Rouen. Poetę ogarnęło „uczucie niesamowitej grozy, jakiej doznajemy zawsze, gdy dzieją się rzeczy potworne, niesłychane, których następstwa są nieobliczalne i niemożliwe do przewidzenia”. Heine pisał, że odnosi wrażenie, jak gdyby góry i lasy wszystkich krajów nadciągały zewsząd w kierunku Paryża. „Czuję już woń niemieckich lip. Fale Morza Północnego rozbijają się o moje drzwi.”

Wkrótce z poważnymi ostrzeżeniami wystąpili medycy. W Bawarii zaprotestowali oni oficjalnie przeciw budowie linii kolejowej z Fürth do Norymbergi. Pisali, że „w interesie zdrowia ogółu” należy zabronić przenoszenia się z miejsca na miejsce za pomocą takich czy innych maszyn parowych. „Zbyt szybki ruch musi wywołać u pasażerów niepokój i rozkojarzenie, zwane delirium furiosum. Francuski uczoney Arago utrzymywał w 1836 roku, że pasażerowie pociągu, jadącego przez długi tunel, narażają się na „katar, zapalenie pęcherza i zapalenie płuc”.

Angielskie fachowe pismo medyczne „The Lancet” zajęło się po raz pierwszy szczegółowo tym tematem w roku 1862, w artykule „Wpływ podróżowania koleją na zdrowie publiczne”. Stwierdzano tam, że wibracja, szybko zmieniające się bodźce wizualne oraz hałas lokomotywy stanowią dla ludzkiego organizmu długotrwałe obciążenie, szkodliwe dla zdrowia. „Nigdy nie zdarzyło mi się widzieć grupy ludzi, która szybciej by się postarzała w ciągu zaledwie paru lat” – pisał jeden z autorów tego elaboratu o licznej rzeszy handlarzy, dojeżdżających codziennie pociągiem do miasta. W ten sposób narodziła się diagnoza „choroba kolejowa”. Wkrótce zaczęto przypisywać pociągom winę za wszelkie schorzenia i psychozy, szczególnie wśród pracowników zatrudnionych na kolei. Jednak na początku XX wieku „choroba kolejowa” znikła równie szybko, jak się pojawiła – ludzie przyzwyczaili się do podróżowania koleją.

„Niekóre diagnozy, stawiane w przeszłości, mogą dziś wywoływać uśmiech” – pisał o „chorobie kolejowej” niemiecki lekarz i autor Werner Bartens – „ale czy z naszymi dzisiejszymi dolegliwościami nie bywa podobnie? Czy lęk przed elektrosmogiem, nadmierne uwrażliwienie na określone chemikalia i substancje występujące w środowisku, jak również syndrom chronicznego wyczerpania nie mogą być również rozumiane jako reakcja naszego ciała na nowe lub irytujące zjawiska, wywołana strachem przed truciznami i przed techniką, oraz poczuciem nadmiernego stresu? Nasuwa się tu wiele analogii”.

Koci grzbiet suchotnika

Nawet jazda na rowerze, dziś kojarząca się ze zdrowym i spokojnym trybem życia, nie była z początku powszechnie akceptowana. Wręcz przeciwnie. Gdy pod koniec XIX wieku rowerzyści pojawili się na drogach, głośno było o „masowym obłędzie”, „szalonych rowerowych gonitwach” i „durniach, zaliczających kilometry”. „Pędzących wściekle” rowerzystów nierzadko obrzucano obelgami, a nawet atakowano. Pesymiści kulturowi utrzymywali, że przyjemność, czerpana z jazdy na rowerze, automatycznie wywołuje u ludzi zamiłowanie do tempa i powierzchownego traktowania zjawisk – co siłą rzeczy musi prowadzić do oglupienia i zdziczenia obyczajów. Znowu nie obyło się oczywiście bez interwencji ze strony lekarzy. Ostrzegali oni przed kalectwem, zatruciem kwasem węglowym i suchotami, które miały być konsekwencją „pozycji kręgosłupa, wygiętego na kształt kociego grzbietu” podczas jazdy na rowerze.

Przedmiotem szczególnie zaciętej dyskusji w środowisku medycznym stały się kobiety jeżdżące na rowerze. „Nie ulega najmniejszej wątpliwości” – pisał pewien lekarz na przełomie XIX i XX wieku – że, jeśli dane indywidua sobie tego życzą, żadna inna czynność nie nastręcza tylu okazji do wielokrotnej, nie dostrzeganej przez otoczenie masturbacji, jak właśnie jazda na rowerze. Jeśli nawet pominąć przypadki, kiedy siodełko zostało z przodu w tym właśnie celu wygięte do góry, co się zdarzało, to i bez tego pozycja osoby, siedzącej na rowerze – okrakiem, z rozstawionymi udami – stwarza dość okazji do dawania upustu takim skłonnościom”. Medyk apelował do policji, by zajęła się tą sprawą. Natomiast niejaki dr med. Martin Siegfried z Berlina twierdził, że jego „dyskretne, niepostrzeżenie prowadzone obserwacje” wykazały, że jazda na rowerze „nie daje się pogodzić z podnieceniem zmysłowym, stanowi więc najlepszy i najskuteczniejszy środek zaradczy przeciwko takim skłonnościom”. Wśród lekarzy toczyły się też ożywione dyskusje wokół kwestii, czy jazda na rowerze może stanowić skuteczną terapię przeciw bezpłodności u kobiet, czy też – przeciwnie – utrudnia zajście w ciążę.

Najnowsze badania, nawiasem mówiąc, wykazały, że intensywna jazda na rowerze może prowadzić faktycznie do bezpłodności – ale prawie wyłącznie u mężczyzn, u których wcale nie tak rzadko wywołuje impotencję. W dawnej literaturze przedmiotu taki temat nigdy się nie pojawiał. Pogląd, że ten sport mógłby przynieść uszczerbek mężczyznom, wydawał się najwidoczniej zbyt absurdalny medykom, wykazującym tyle troski o słabą płeć.

Źródło:

MATHIAS PLÜSS © Die Weltwoche, 10.11.2005 -
mathiaspluess.ch/polski/Tylko%20bez%20nowinek.doc